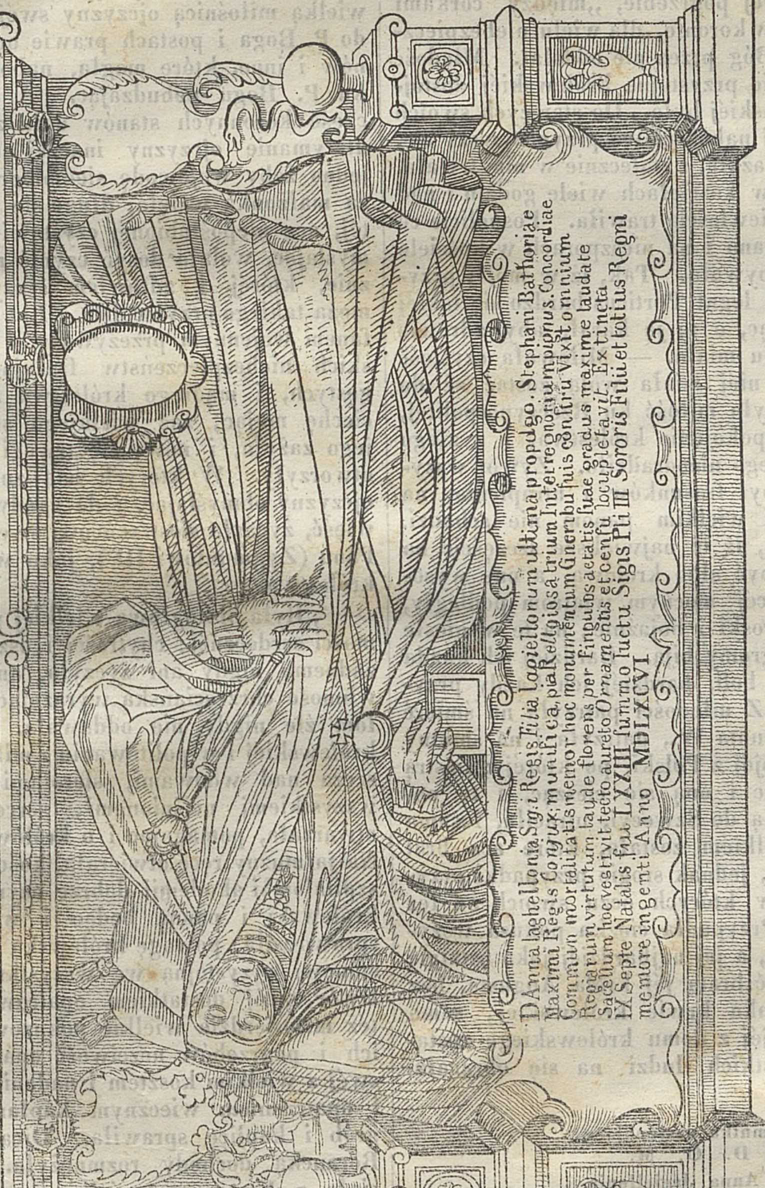
Przyjaciel Ludu.

Rok czwarty. **No. 46.** **Leszno, dnia 19. Maja 1838.**



Nagrobek Anny Jagiellonki.

Nagrobek Anny Jagiellonki.

Obok pomników Zygmunta I. i syna jego Augusta, spoczywają w kaplicy jagiellońskiéj katedry krakowskiéj pod nagrobkiem z czerwonego marmuru, *) zwłoki królowéj Anny, córki Zygmunta I. a małżonki Stefana Batorego. Rozstała się Anna z tym światem roku 1596, w 73 roku życia swego. „Została Anna,“ mówi Skarga w kazaniu na jéj pogrzebie, „między córkami Zygmuntowemi w koronie, dla wielu niebezpieczności, które P. Bóg przez nie oddalał. Młodość jéj i wychowanie przystojne królewskiéj dostojności i chrześciańskiéj było. Do starszych swoich wiary katolickiéj nabożeństwa przyuczywszy się, dziwnie je rozmnażała, i statecznie w nim trwała. Na modlitwie i w kościołach wiele godzin i nad zwyczaj i siłę niewieścią trawiła. Pospolicie co dzień 8 godzin rano i na nieszporach w kościele modląc się, przebywała. Tak, iż w mojéj przytomności papieski legat Porticus bardzo się takiéj gorącości dziwując, o to ją karał, aby zdrowie swoje na baczeniu miała. — Miłowała czystość panieńską, i w niéj miała wolą zostać aż do śmierci, by jéj była miłość ku Rzeczypospolitéj, i ojczyzny, i uspokojenie królestwa, a z złego razu wyrwanie tego nieodradziło. Zywot wszystek jéj pełny był frasunków i utrapienia, na którym królom i wielkim panom nie schodzi. Drudzy mniemają, iż to największe szczęście na świecie, królem być albo królową, a one wysokie drzewa, więcéj mocnym wiatrom podległy, częstsze na nie troski i bojaźnie; na te wyniosłe drzewa częściéj gromy biją. Bardziéj ich każda krzywda i nędza boli, bardziéj ich każdy przypadek troszczy. Z młodości patrzyła na śmierć ojca swego Zygmunta W., patrzyła i na smutny odjazd matki swojéj z Polski, po któréj z siostrą Katarzyną zostając i oną się ciesząc, i tę pociechę, żegnając ją do Szwecyi, utraciła, i sama w sieroctwie wielkiém została, które acz brat August opatrował, jednak srogie przypadki przymięszane były, w których oczu swoich od łez nieosuszała. — Przypadła ciężka pokusa wszystkiemu królestwu, a jéj najbardziéj jako ostatnie osierocenie: śmierć brata jéj króla Augusta, bez zostawienia potomka krwie królewskiéj, sama tylo nie płci swojéj z domu królewskiego zostając, oczy wszystkich ludzi na się obracała. Przychodziły na nie takie czasy, iż w niedostatku niemałym zostawać musiała, niewiedząc czym i kuchnią opatrzyć. Raz niezostała tylko przy jednym kubku srebrnym, na który aż do śmierci, sierotką go zowiąc, rada patrzyła.

„Na wielkie zamięszanie w królestwie pod interregnum i rozdwojania ludzi patrząc, gdy jedni tego, drudzy owego niezgodnie i z niebezpieczeństwem ojczyzny obierali, jako była wielką miłośnicą ojczyzny swéj, na modlitwach do P. Boga i postach prawie omdlewała, kapłanów i inne, które mogła, nabożne, do wołania ku P. Bogu pobudzając. A gdy jéj większa część koronnych stanów dała znać, iż pokój i utrzymanie ojczyzny inaczéj stać się nie może, jedno żeby wojewodę siedmiogrodzkiego Stefana za małżonka wzięła, długo się dla przedsięwziętéj, acz niepoślubionéj czystości panieńskiéj, rozmyślając, wolała dosyć czynić miłości ku ojczyznie, któréj i zdrowiem służyć chciała, i na męża takiego przyzwoliła. Lat jedenaście z Stefanem wojennym przeżywszy, i z jego się rycerskich niebezpieczeństw frasując, a zwycięstw gęstych, i mądrego królestwa sprawowania pociechę mając, zaś wielkiego smutku z śmierci jego zażyła, i nowe się trwogi dla interregnum otworzyły. W których ona znowu dobro swéj ojczyzny obmyślając, i do zgody lud chcąc przywieść, życzyła siostrzeńcowi swemu, dzisiejszemu Panu (Zygmuntowi III.), jako własnemu synowi królestwa.

„Była białogłowa wielkiéj prostoty i uprzejmości serdecznéj; chytrości i oszukania i szkody żadnemu nigdy ani życzyła, ani czyniła. Niewinność chrześciańską wyrażając, i nieprzyjaciołom źle nigdy nie oddawała. W łaskawości królewskiéj i w politowaniu i miłosierdziu, zwłaszcza nad wdowami, sierotami i kmiotkami i wszystkiemi uciśnionemi, serce i wnętrzności otwarzała, pomagając i u królów i czém mogła. Na jałmużny ręce otwierała, kościołom, zakonom, szpitalom i akademii dobrze czyniąc. Dom swój królewski i panną będąc i wdową porządnie sprawowała: powagę królewską i uczciwość temu stanowi przystojną we wszystkiém zachowując. Dwór swój dostatkiem opatrowała. Umarłym też miłosierdzie wielkie pokazowała, i gospody ich i pogrzebów uczciwość opatrowała. Matce swéj z wielkim kosztem i nadaniem służby bożéj, i opatrzeniem wiecznym kapłanów, w Barze, grób i kaplicę sprawiła. Ojca swego kaplicę Rorancką dochody rozmnożyła. Brata swego ciało z Knyszyna, wielkim swym kosztem do Krakowa wprowadziła, i grób kosztowny postawiła. I mężowi swemu ozdobną kosztem królewskim kaplicę i grób w Krakowie zgotowała. Pragnęła tego, aby i siostry swéj Katarzyny, królowéj szwedzkiéj, matki Pana naszego, ciało do Polski z krajów zamorskich przewieść mogła. Lecz do tego nie przyszła. Tak się królestwu wszystkiemu i stanom jego i domownikom i pod-

*) Napis na pomniku następujący:

D. O. M.

D. Anna Jagiellonia

Sigismuudi I. filia, Jagiellonum ultima propago, Stephani Bathorii maximi Regis Conjux, munifica, pia, religiosa, trium Interregnorum pignus concordiae. Communis mortalitatis hoc monumentum cineribus suis construxit. Vixit omnium regiarum virtutum florens, per singulos aetatis suae gradus, maxime laudata. Sacellum hoc vestivit tecto aurato, ornamentis et censu completavit. Extincta 9. Septembris, natalis sui LXXIII., summo lucta Sigismundi III. R. sororis filii et totius Regni moerore ingenti A. MDXCVI.

danym wszystkim zachowała, iż słusznie nad śmiercią jéj płakać, i onéj żałować winni jesteśmy.

„Płaczmy wszyscy,“ kończy Skarga, „żeśmy utracili królową i matkę naszą, do któréjśmy mówić one słowa mogli: Tyś była chlubą narodu naszego, tyś uweselała poddane twoje, tyś była ozdobą ludu twego. Tyś była przykładem życia królewskiego i chrześciańskiego; z ciebieśmy mieli nie tylo pomocy i uweselenie, ale i zbudowanie. Tyś cnotami swemi zamknęła królewską Jagiełłów krew, i domowi temu takiś piękny koniec i zamknięcie zejściem swojém dała, cnoty i miłość ku poddanym wyrażając.“

Wystawa obrazów w Poznaniu.

(Ciąg dalszy.)

Po tym smutnym obrazie babilońskiéj niewoli, rozpłomienił się gieniusz malarza do większego, śmielszego pomysłu. Już nie ową boleść, któréj religijne uczucie niesie pomoc i ulżenie, nie ów smutek tęskny, pod którym tleje jeszcze iskra nadziei, przedmiotem są dla mistrza: zdarł on zasłonę, upadłą nad zburzeniem Jerozolimy; namiętném spojrzał okiem na widok tylu nieszczęść i sromoty: nie wzdrygnął się przed ogromem niedoli, co przygniótł plemię Izraela. Jeden szczegół okropny długiego oblężenia, głodu, moru i zawziętszéj nad nie walki, nie uszedł wzroku malarza, wszystko powtórzył w straszliwéj prawdzie. Tam odnoszą nadobne córy poległego starca, tu chłopczyk śmierci nieświadom, zagląda w zamkniętą powiekę bohatera, czy ojciec już walczyć, już go swém ramieniem zakrywać nie będzie; tu jeszcze matka wybladła, odwraca oczy od skonałego dziecięcia, co śmierć u nóg jéj usłała, a do jéj piersi przytulone spragnione niemówlę, ani w nich pokarmu nie znajdzie, ani go przyjąć nie zdoła. Wszystkie te grupy napiętnował głód przedłużony okropném swojém znamieniem; na tych śnieżnych licach i ustach ujrzysz dłoń śmierci, w zdziczałém nawet oku oblężonych, rozpacz zamienia się w obłąkanie. Śród tylu zgróz i klęsk, jedna tylko postać się wznosi, królująca na zwaliskach ojczystego miasta, męzka postać proroka Jeremiasza. Ileż to mocy i siły w rozmiarze tego ciała? jakiż ogrom ciężaru zdołają unieść jego barki? ileż myśli w tém genialném czole? Upadek jednak ojczyzny kruszy takich mężów, zwątla ich siły, ręce ich opuszcza, głowę chyli ku ziemi, aby oblicze ich nie oglądało dłużéj świata, co wszelkiéj ponęty już pozbawion, obmierzł ich duszy. W obrazie Bendemana Jeremiasz sam już cierpi; tamci wycierpieli, albo dotąd struchleli w osłupieniu: nie uczuli, że dusza jego w mękach okropnych gnie się pod klęską, która jéj nie złamała, lecz dotąd żadna nadzieja nie zawitała w głąb jéj tajników. Tamtym ból dokucza, śmierć lub niewola ich zastrasza; jego gnębi jedynie upadek Jerozolimy: nie czuje on nic za siebie, lecz za wszystkich, czuje za całą ojczyznę: korzy się przed Bogiem, że mu śmiercią nie ulżył ciężaru. Nikt nie przeszedł spokojnie koło obrazu tylu boleści, bo w każdéj duszy znajdzie się zawsze współczucie dla tak wielkich, tak ogólnych nieszczęść. Nie dziw więc, że Bendemana dzieło wszędzie zarówno ocenionèm zostało: wszędzie uznano wielkość i prawdę pomysłu: różnili się wprawdzie Francuzi od Niemców w wyszczególnieniu piękności tego arcydzieła, i w tém odróżnieniu nawet cechę narodowości rozpoznasz. Albowiem nietylko mistrz przybiera swe arcydzieła w stroje, swemu rodowi właściwe, i przelewa na udzielną myśl swego szczepu, ale i ten świat szeroki, przed którym wystąpi, wcale różnie i odmiennie go zrozumie. Jedni w nim zachwalać będą wdzięki, inni jędrność, innych nieznana zadziwi wiara: każdy zrozumie go stósownie do wewnętrznéj treści swego narodowego ducha. Tak n. p. W. Scott był dla jednych zabawką, w innych zaś najtkliwsze budził spółczucia; Byron ówdzie za przedmiot poszukiwań ciekawym psychologom służył; tu zaś wzniecał tenże sam zapał, co tlał w jego duszy. Również malownicze dzieła rozmaitym podlegają sądom, n. p. krytyk jakiś berliński Jeremiasza Bendemana umieścił w urzędowéj gazecie długą i uczoną rozprawę, aby dowieść, że mistrz innego nie miał celu, jak wskazać różnicę, zachodzącą między subjektywném udzielném cierpieniem różnych grup zwyciężonych, własnym tylko nieszczęściem zajętych, a tą ogólną i powszechną boleścią, jaką znosi prorok na siebie niepomny, lecz jedynie na los ojczyzny. Tak to jednostronni psycholodzy, ubiegając się za uporném zgłębianiem najtajniéjszych myśli mistrzów, zapędzają się nieraz na bezdroża czczych abstrakcyj, zkąd ich daremnie cała świetność barw i wdzięki ślicznych utworów ku rzeczywistszéj odwołują prawdzie. Nadmieniłem tu to szczególne zjawisko, dziwnego sądu o arcydziele Bendemana, dla tego, że pozostać mogło jedynie śród wspomnień szkoły filozoficznéj, zbytnie bacznéj w podciąganiu rozmaitych fenomenów życia pod formuły logiczne; a nigdybyśmy nic podobnego nie doczekali się w Paryżu.

Obraz morski p. Göthe pomiędzy najpiękniéjsze na wystawie policzym; bo pomysł jego równie prosty, jak gienialny, a wykonanie mistrzowskie. Mógłżeż albowiem całém bogactwem sztuki otrzymać większy skutek, nad ów, co malarz namiętny osiągnął przez cztery tylko ogromne wały, unoszące się na łonie zielonego morza. Stanąwszy na skalistém wybrzeżu, ujrzysz się nagle oblanym szumiącą pianą rozpryskującéj się fali: pierwszy to wał ściele się przed tobą i tak spełznął przed twemi stopy. Za nim wznosi się wysoki, nieskończenie długi, przejrzysto-zielony i białą uwieńczony pianą, bałwan olbrzymi: słyszysz szum jego gwałtowny i huk gniewliwy oceanu; z tyłu za nim jeszcze dwa rozciągłe wały pląsają, dyszą i szumią w dali.

Tyle tylko na przodzie, lecz jeszcze tam gdzieś w głębi ponad skały, ujrzysz okręt szybko falą niesiony na nieuchronną zgubę. Otóż to tam opodal w tym niknącym okręcie całe twoje spółczucie: na przodzieś widział, jak morze gwałtowne, abyś przeczuł, jak groźne jest w dali: abyś dzielił obawę majtków bliskich śmierci i męskiém odgadł sercem spokojność sternika i kapitana: tam więc, na pokładzie okrętowym, myśl twoja i twoje spółczucie, tu na tym skalistym brzegu, wśród wałów ogromu, przygotowawcze tylko odbierzesz wrażenia: czujesz, bo czujesz za drugich; zadziwiasz w żywiołach przeciwników, godnych ciebie, z którymibyś walczył z upragnieniem, aby im wydrzeć porwane ofiary i drogiego strzedz życia.

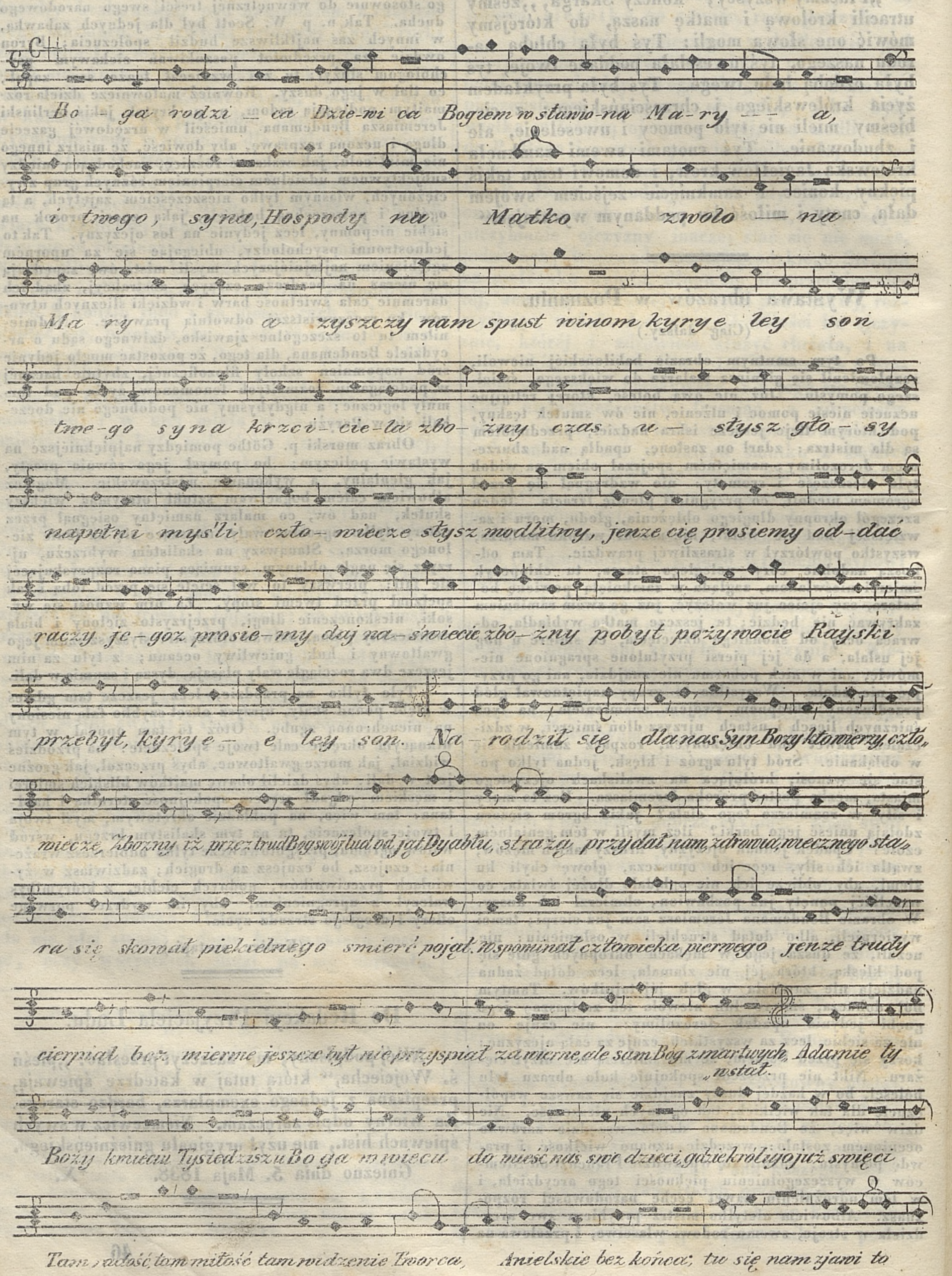
(Koniec nastąpi.)

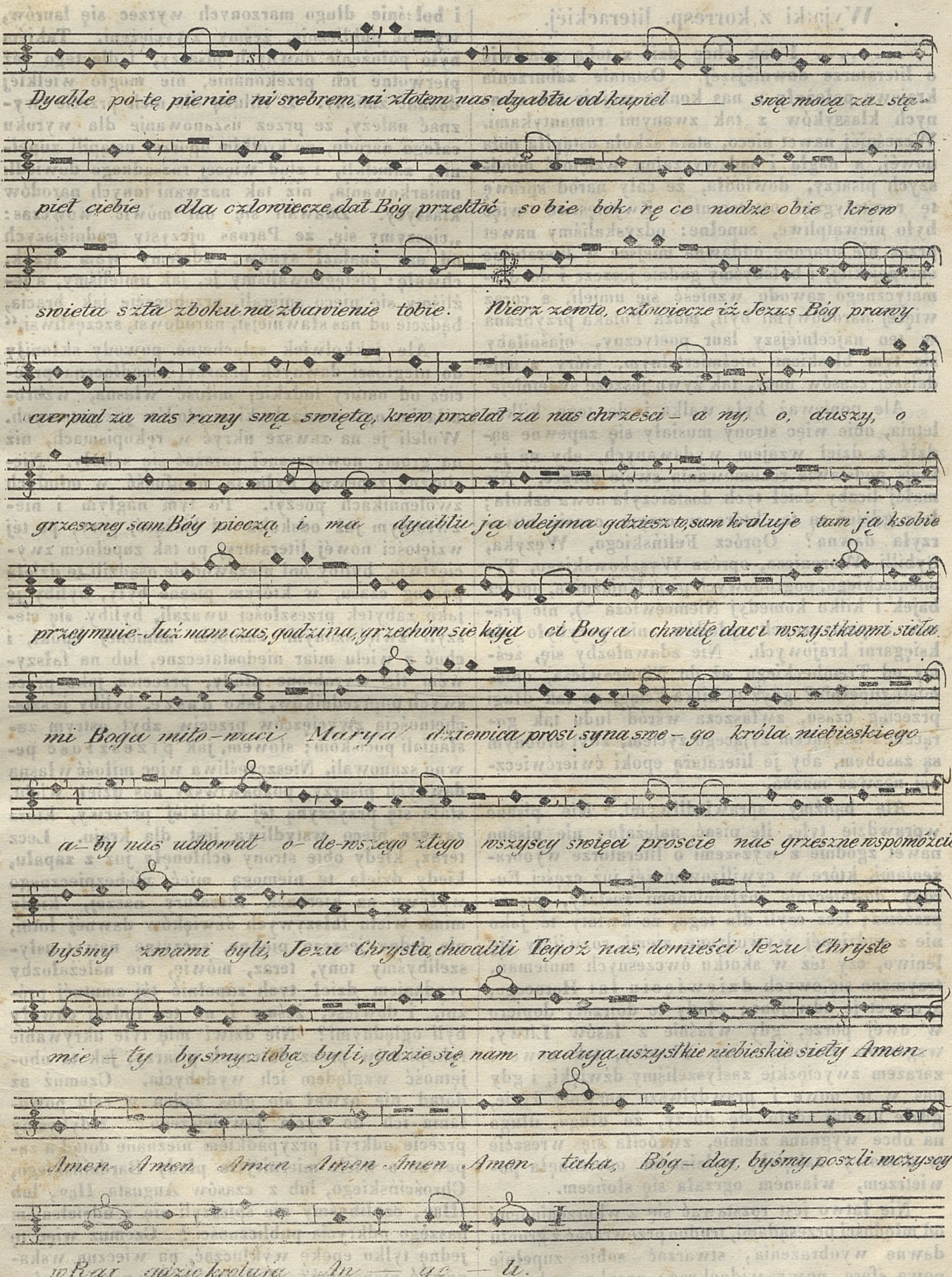
Do Redakcyi Przyjaciela Ludu.

Niżéj podpisany, ma zaszczyt przesłać: „pieśń ś. Wojciecha,“ którą tutaj w katedrze śpiewają, przepisaną z jednego exemplarza, bardzo starego. Za wierny odpis zaręczam. Niemcewicz w swych śpiewach hist., nie użył oryginału gnieźnieńskiego.

Gniezno dnia 5. Maja 1838. *X.

Prosa S. Adalberti.




Dyable po-tę pienie ni srebrem, ni złotem nas dyabłu od kupiel — swą mocą za- stą-
pieł ciebie dla człowiecze, dał Bóg przekłóć so bie bok rę ce nodze obie krew
swieta szła zboku na zbawienie tobie. Wierz zewto, człowiecze iż Jezus Bóg prawy
cierpiał za nas rany swą świętą, krew przelał za nas chrześci – a ny, o, duszy, o
grzesznej sam Bóg pieczą i ma dyabłu ją odejma gdzieszto, sam króluje tam ją k sobie
przeymuie-Już nam czas, godzina, grzechom sie kają ci Boga chwałę daci wszystkiemi siłą.
mi Boga miło-wać Marya dziewica prosi syna swe – go króla niebieskiego
a- by nas uchował o- de-wszego złego wszyscy święci proście nas grzeszne wspomóżcie
byśmy zwami byli, Jezu Chrysta, chwalili Tegoż nas domieści Jezu Chryste
mie – ły byśmy ztobą byli, gdzie się nam radują wszystkie niebieskie siedy Amen
Amen Amen Amen Amen Amen Amen taka, Bóg- daj, byśmy poszli wczysey
w Raj gdzie królują An — ge — li.

Wyjątki z koresp. literackiéj.

.... I tak chcę dziś z tobą pomówić o literaturze dawniéjszéj. Ostatnie zaburzenia krajowe położyły u nas koniec wojnie tak zwanych klassyków z tak zwanymi romantykami. Wcześniéj nawet nieco, stara szkoła ustąpiła pola nowéj, a nagła i nadzwyczajna wziętość młodszych pisarzy, dowiodła, że cały naród sprawę tę rozstrzygnął ostatecznie. Zwycięstwo więc było niewątpliwe, zupełne: odzyskaliśmy nawet przez nie stracone oddawna miejsce w literaturze europejskiéj, i bylebyśmy godnie jeszcze i do dramatycznego zawodu wznieść się umieli, a coraz więcéj narodowymi byli, muza Polaka przybrana w ten najcelniéjszy laur poetyczny, ojaśniłaby się tym blaskiem nieśmiertelnym, który z najdalszéj czasów nocy, tak żywo jeszcze świetnieje.

Ale ponieważ była walka i do tego kilkoletnia, obie więc strony musiały się zapewne sądzić z dzieł wzajem wydawanych, aby na jakiéjś podstawie rozumowania swoje oprzeć. Nie małéj liczby dzieł tych dostarczyła nowa szkoła; lecz gdzież są te, które w owym czasie utworzyła dawna? Oprócz Felińskiego, Wężyka, Sybilli Woronicza, oprócz Wyszkowskiego, Tymienieckiego, pogrobowych pism Kniaźnina, oprócz bajek i kilku komedyj Niemcewicza *), nic prawie z poetycznych płodów nie przybyło do księgarni krajowych. Nie zdawałożby się, żeśmy od Trembeckiego aż do Niemcewicza, oniemieli zupełnie? gdyż te kilka ksiąg, na tak długi przeciąg czasu, zwłaszcza wśród ludu tak gorącem i marzącem żyjącego zyciem, zbyt drobnym są zasobem, aby je literaturą epoki ćwierćwiecznéj nazwać można.

Ale bądźmy sprawiedliwymi. Nie pisano wprawdzie tyle, ile pisać należało; nie pisano nawet zgodnie z wyższemi o literaturze wyobrażeniami, które w cywilizowańszéj już części Europy dostatecznie rozjaśnionemi zostały, pisano przecież; lecz czyli dla tego, że kwiaty te jako nie z rodzinnéj wywodzone ziemi, rozwijały się leniwo, czy też w skutku ówczesnych mniemań, trzymano się owych dziewięciu lat Horacego, a nawet je zdwojono; płody te dojrzały dopiero w owéj porze, gdy właśnie z lasów Litwy, wzgórzów Podola i step Ukrainy, tak nowe i zarazem zwycięzkie zasłyszeliśmy dźwięki, i gdy nas w to nowe i prawdziwsze porwały życie, gdzie każdéj zdało się duszy, że długo, długo na obce wygnana ziemie, zwróciła się wreszcie w domowy zakątek, rodzinném odetchnęła powietrzem, własném ogrzała się słońcem.

Nie łatwo jest rozstawać się z wkorzenionemi od młodości przesądami, trudno przewracać z gruntu dawne wyobrażenia, stwarzać sobie zupełnie nową sferę, nowy widnokrąg; przykro nakoniec i boleśnie długo marzonych wyrzec się laurów, wyznać publicznie, żeśmy zwyciężeni. Takiém było położenie dawnych pisarzy, i dla tego też pierwotne ich przekonanie, nie mogło wielkiéj doznać zmiany. Z chlubą dla nich przecie wyznać należy, że przez uszanowanie dla wyroku całego narodu, po krótkim oporze, ustąpili zupełnie, zamilkli, i ztąd więcéj rozsądnego dowiedli umiarkowania, niż tak nazwani innych narodów klassycy. Zdawali się oni mówić wówczas: „cieszymy się, że Parnas ojczysty godniéjszych od nas znalazł synów; zdajemy wam język, chwałę: pielęgnowaliśmy je, jak umieliśmy, a jeżliśmy się nieco spierali, przebaczcie jak bracia, bądźcie od nas sławniejsi, narodowsi, szczęśliwsi.“

Ale jakkolwiek szlachetne powody skłoniły do uległości dawnych pisarzy, nieodłączna przecież od natury ludzkiéj miłość własna, wzbroniła im ogłoszenia drukiem płodów już gotowych. Woleli je na zawsze ukryć w rękopismach, niż na gromy nowoczesnéj narażać się szkoły. Niesłuszną zapewne była ta nieufność w młodych zwolennikach poezyi. Po tym nagłym i niezwrotnym już odskoku od bieżącéj pory, po téj wziętości nowéj literatury, po tak zupełném zwycięztwie, byliby oni niezawodnie osądzili te dzieła podług czasu, w którym pisane były, byliby je jako zabytek przeszłości uważali, byliby się cieszyli zwiększonym zasobem minionéj epoki, i choć z wielu miar niedostateczne, lub na fałszywém tle wyrobione płody, przecież jako prace swych poprzedników, jako nasze, byliby je szlachetnością zwycięzców przeciw zbyt ostrym zasłaniali pociskom; słowem, jak przeszłość pewno szanowali. Nieszczęśliwa więc miłość własna dawnych pisarzy, pozbawiwszy nas dzieł wielu, stała się przyczyną téj wielkiéj przerwy, która zawsze nieco wstydliwą jest dla kraju. Lecz teraz, kiedy obie strony ochłonęły już z zapału, kiedy dzieła te niemogą mieć niebezpiecznego wpływu na kierunek literatury naszéj, kiedy mimo wielu fałszywych dźwięków dawnéj lutni, nie jedne jeszcze piękne, szczytne nawet usłyszelibyśmy tony, teraz, mówię, nie należałożby wydaniem dzieł tych zapełnić téj smutnéj próżni, i dowieść, żeśmy i na ten rodzaj chwały byli oględnymi? Nie dziwi mię tyle ukrywanie rękopismów przez dawnych pisarzy, jak ta obojętność względem ich wydobycia. Czemuż aż dotąd nie ozwał się głos żaden w celu powołania ich do życia jawniejszego? Gdybyśmy przecie odkryli przypadkiem nieznane dotąd a zapewne o wiele mierniéjsze płody Bardzińskiego, Chrościńskiego, lub z czasów Augusta IIgo, lub IIIgo, czylibyśmy nie spieszyli się z udzieleniem naszego odkrycia publiczności? Czemuż więc tę jednę tylko epokę wykluczać, na wieczną wskazywać niepamięć? Także to nadzwyczajnie bogaci jesteśmy, abyśmy dzieła te, jako niepotrzebne graty starego zbytku, odrzucali na zawsze? Żal nam kiedyś będzie, a bardziéj jeszcze żal

*) Nie położyłem tu jego śpiewów, gdyż te nowa szkoła liczy jako do niéj należące.

idącym po nas pokoleniom, żeśmy tak błędnie rzecz tę sądzili: bo ileż może tych rękopismów zginie, ile już zginęło! wszakże nietylko dzieła w rękopismach leżące, ale i pisarze niektórzy zdają się już zapomnianymi. Wspomniałże kto n. p. w tylu rozprawach o literaturze narodowéj tragika naszego Hofmana. *) Czytałem przed 20 laty jego Heligundę, widziałem wystawionego Bolesława Wtórego. Niegładkie są zapewne i nie dość poetyczne jego rymy; lecz dzieła nie bez zalet, choć na dawny sposób osnute, a silnie skreślony charakter Bolesława, więcéj ma wybitnéj indywidualności, niż znane nam Przemysławy, Zygmunty, Władysławy, a stokroć więcéj, niż wszystkie trajedyi francuzkich tyrany, aż do Ludwika XIgo Delavinia. Z drukowanych ułomków ziemiaństwa Koźmiana, dowiedzieliśmy się o jego istnieniu; lecz jakże mała liczba zasłyszała o podobném oryginalném poemacie Rzewuskiego, **) nie dawno zmarłego, po którym wiele poezyi i cały Tybull przełożony pozostał. Pięćdziesiąt przynajmniéj dzieł, podobnie tajonych, wyliczyćbym mógł na prędce, które przecież zaledwie gronu rodzinnemu lub kilku przyjaciołom są wiadome. Szanowny hrabia Raczyński Edward, przedsięwziął zapełnić tę przerwę w naszéj literaturze, którą brak przekładów łacińskich autorów wskazywał jeszcze; jakże pięknie byłoby, gdyby, idąc tym śladem, chciał ktoś także i tę próżnią, tak dla nas smutną, zapełnić. Niech wychodzą te dzieła pod tytułem: Literatury dawnéj, a pewno ani z nowéj szkoły nikogo nie zrażą, ani dawni pisarze nazwą tą obrażać się nie będą. Ale czuję, żem nie dotknął jeszcze najdrażliwszéj strony mego przedmiotu. Nie jeden powie zapewne: „na cóż to odgrzebywać? wszakże tam tyle przekładów francuzczyzny!“ Wytłómaczmy się więc szczerze w tym względzie. Zgubną zapewne z wielu miar była u nas ta nieszczęśliwa francuzczyzna; wykorzeniła ona prawie aż do ostatniego włókna narodowość naszą w literaturze; lecz czyliż teraz wpływ jéj na tę literaturę przynajmniéj, nie ustał zupełnie? nie mogąż to już bez niebezpieczeństwa istniejące już przekłady celniejszych autorów przez nas być przyjętemi? Wszakże po nieśmiertelnym Fauście, Ifigenii Götego, po tylu arcydziełach Szyllera, nie odepchnięto pierwszego przełożeń Mahometa i Tankreda, drugiego Fedry. Wszakże po dziełach Hugona, Dumasa, w Francyi, drukują jeszcze Andrzeja Chenier i unosić się nad nim umieją. Göte, Byron, Szlegel widzieli tak dobrze przynajmniéj, jak my, wielkie błędy Francuzów, nie byli przecież ślepemi na ich zalety. Napoleon pod temi Alpami nieszczęść, które go przywaliły na skale wygnania, zasilał się nieraz olbrzymim duchem Kornela; wyznał nawet, że gdyby w jego żył czasach, byłby go państwa swego xięciem mianował. Mniemam wreszcie, i w tém zapewne wielu się ze mną zgodzi, że nie bez korzyści byłoby czasem przelewać w siebie rycerską szlachetność Tankreda, odpowiadać sercem żalom Andromaki po stracie Hektora i Troi, krzepić się dzielnością Cyda, zbroić i hartować twardą starego Horacyusza niezłomnością. Słyszymy tyle kazań o tolerancyi w mniemaniach politycznych, religijnych i w pożyciu z ludźmi, saméjże tylko literaturze tak szlachetnego wzbronimy uczucia?

*) Hofman był niegdyś kapitanem artyleryi polskiéj, żył długo w tém samém miéjscu, gdzie i Kniaźnin, i z tychże samych powodów, po ogólnéj niedoli kraju, równie jak on, chorobą umysłową dotknięty został. Niewiadomém mi jest miejsce złożenia jego zwłok, zdaje mi się przecież, że w Puławach. Tak Heligunda, jak i Bolesław Wtóry, były kilkakrotnie wystawione na teatrze warszawskim. W ostatnim wziął sobie za wzór ciasną zwięzłość Alfierego, tak, iż cztery tylko osoby działają w całéj pięcioaktowéj tragedyi. *Uwaga autora.*

**) Adam Rzewuski, były kasztelan z czasów St. Augusta, mieszkający na Podolu. Syn jego Henryk zajmuje się, ile mi wiadomo, układem romansu obyczajowego, w którym wziąwszy za główną osobę szlachcica jowialistę, (jakich sam jeszcze w Wielkiéj-Polsce znałem) objeżdża z nim celniejszych magnatów dwory, domy szlacheckie, a najdłużéj u głośnego «Panie kochanku» przebywa i tym sposobem opowiada dawny obyczaj, świetność, opinie i uczty. *Uwaga autora.*

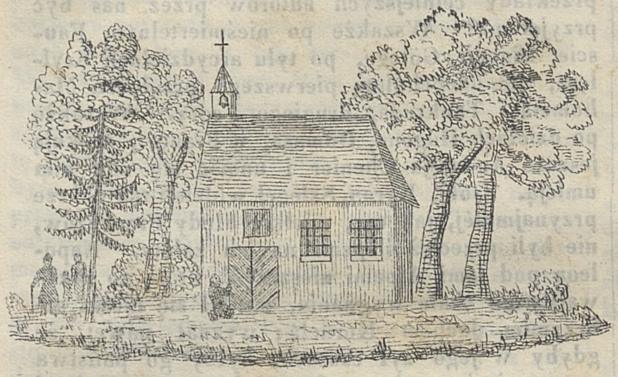
Kościółek Ś. Leonarda na Bugaju. *)

(Legenda wiejska.)

(*Ofiarowana drogiéj siostrze E. M.*)

Na samym krańcu wielko-polskiéj ziemi,
Wśród starych dębów, strażników granicy,
Słynie w kościółku, cudami wielkiemi,
Święty Leonard, patron okolicy.
Różne tam łaski płyną z jego ręki,
Z dalekich stron téż pobożni zdążają,
Świętą dobrocią słodzi ludzkie męki,
Gdy mu z modlitwą łzę wiary oddają.
Nie dziw się ludu, że w tym ciemnym lesie,
Budował przodek, by cześć nieść świętemu.
Posłuchaj raczéj, co podanie niesie,
A dziad z kościółka, powtórzy każdemu.
Żył w Łagiewnikach, prostaczek ubogi,
Dwoje bydlątek, to jego dostatki,
Z nich żywił siebie i żonę niebogi,
Chronił od głodu, liczne swoje dziatki.
Wtém dnia jednego, już spóźniona pora,
Każdy gospodarz, dobytek rachował,
A u Macieja wciąż pusta obora,
Znikły z pastwiska krowy, co odchował.
Nie ryk bydełka echem się rozlega
W biednéj zagrodzie wieśniaka naszego,
To płacz dziateczek, bo każde nalega,
By matka dała mleka pożywnego.
Smuci się żona, smuci Maciéj stary,
Czy wilk podusił, czy téż ukradzione,
Może téż tylko zbłąkały się w jary,
Bujnem pastwiskiem na smugi zuęcone.

*) *Bugaj, pustkowie z kościółkiem na samym krańcu Wielko-Polski, na trakcie z Radomska do Przedborza, w województwie kaliskiém, obwodzie piotrkowskiém, należy do wsi Łagiewnik.*



Kościółek Ś. Leonarda w Bugaju.

Szuka więc w lasach, zapytuje ludzi,
Aby z pociechą mógł wrócić do domu,
Ale na próżno, cały tydzień mudzi,
Bo nie wiadomo, gdzie krówki, nikomu.
Zadrżał, gdy pomniał, jak powitać dziatki,
A więc raz jeszcze, nieba pomoc wzywa,
I wszystkich świętych, i niebieskiéj matki,
A łzę rozpaczy, jako grzech ukrywa.
Gdy tak w modlitwie, Panu się ukorzył;
Woń go i jasność otacza do koła,
Aż odurzony, gdy oczy otworzył,
Tak młody pielgrzym, już na niego woła:
»Jestem Leonard, z pańskich świętych grona,
Masz twoje krówki, wracaj do rodziny,
Lubię te strony, będę ich obrona,
Zbuduj mi ołtarz, pomniéj téj godziny.« —
Nim chłopek powstał, by swe dzięki złożyć,
Już znikła z oczu, owa postać święta;
Spieszy więc krówkom obórkę otworzyć,
Słowa świętego z uwagą pamięta.
Bieży do xiędza, o poradę prosi;
Pleban szanować świętą wolę każe,
Maciéj téż słucha, siekierę wynosi,
I idzie w lasy budować ołtarze.
Dni i miesiące, zeszły w świętéj pracy,
Nim miejsce cudu, kapliczką osłonił;
Szli mu téż w pomoc pobożni wieśniacy,
Chociaż im tego złośliwy pan bronił.
Był nim naówczas odszczepieniec wiary,
Ni w Matkę boską, ni on w świętych wierzył,
Nigdy w swym gniewie nie zatrzymał miary,
A w swoich włościach, głuchy postrach szerzył.
Razu pewnego, wyjechał na łowy,
W łagiewskiéj puszczy ugania jelenia,
Wtém nagle ujrzał dach świętéj budowy,
Zasłyszał śpiewy, pobożnych westchnienia.
Puszcza więc zwierza, wściekłość w nim zawrzała,
Ogień służącym swym rozniecić każe,
Wypędza wiernych, dzikość więcéj chciała,
Porywa głownią, podpala ołtarze.
Ale o cudzie! dom boski nietknięty,
Ogień się niechce imać suchéj ściany,
Bóg zaś w wyrokach swoich niepojęty,
Niesie go wichrem, przez lasy i łany,
I wśród łagiewskie gumna go zanosi,
Wnet płoną w ogniach niewiernego plony,
Nikną dostatki: pan z pokorą znosi,
Bo wieczność zyskał cudem oświecony.
Odtąd był wiernym sługą prawéj wiary,
Słynął z dobroci, dom jego, rodzina,
Światło uzyskał drogą boskiéj kary,
Chwile swéj klęski, jak łaskę wspomina.
Wieść się o cudzie coraz daléj szerzy,
Lud się gromadzi z dala, z okolicy,
Łaskę świętego, każdy skarbić bieży,
Pobożnych obręb nie mieści kaplicy.
Pan nawrócony, kościółek zbudował
Z drzewin modrzewiu; przetrwał długie lata,
Bo go świętemu z wiarą ofiarował,
A zawsze z niego hymn w niebo ulata. *K. M.*

Elekcya królów polskich.

(Ciąg dalszy.)

Dawniejszemi czasy, wybory czyli uznawania królów odprawiały się podług świadectwa Macieja z Miechowa, w Piotrkowie, a tylko wyjątkowo w Krakowie, jako w miejscach, gdzie się najwięcéj zjazdów odbywało. Po złączeniu Litwy z Polską, gdy w Warszawie obradować zaczęto, przeniesiono tamże i elekcyą, lecz, że trudno było wszystkich w mieście pomieścić, wyznaczono na elekcyą pole pomiędzy Warszawą a wsią Wolą, gdzie, wyjąwszy Henryka i Augusta III., wszystkie odbyły się wybory. Miejsce w polu elekcyjném, przeznaczone do obrad sejmowych, otoczone było rowem i wałem, i przystęp do niego tylko trzema otwarty bramami, zachodnią dla Wielkopolski, południową dla Małopolski i wschodnią dla Litwy. Wśrodku tego zabezpieczonego miejsca, wystawiano za każdą razą budynek w kształcie namiotu, z drzewa, nakryty tarcicami, z płóciennemi ścianami, nazwany szopą. *) W téj szopie zasiadali senatorowie. W niewielkiém za szopą oddaleniu, pod gołém niebem, zbierali się na obrady posłowie ziemscy. Miejsce to dla kształtu nazywano kołem; zgromadzonych zaś posłów kołem rycerskiém. Zgromadzona osobiście na elekcyą szlachta, schodziła się za okopem na polu elekcyjném pod znakiem swych województw; każde województwo w wyznaczoném przez w. marszałka miejscu.

Sposób i forma obioru króla, żadną ustawą nie były oznaczone. Już za Zygmunta Augusta domagały się stany ustawy co do formy elekcyi. Na zjeździe jędrzejowskim w r. 1576 ustanowiono, iż na pierwszym sejmie, po koronacyi króla Stefana, sposób obierania królów, prawem opisany będzie, lecz tego, jak i wszystkich póżniéjszych projektów, nie wykonano. Wszystko, cokolwiek wiemy o elekcyi, zasadza się na zwyczajach, nie na prawie. (Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Pierwszą taką szopę wystawiono na elekcyą Zygmunta III. Na obiorze Henryka był tylko namiot, zrobiony z kosztownych materyi, znalezionych w pozostałości Zygmunta Augusta. Wystawienie téj szopy należało do marszałków w., na koszt skarbu publicznego.

W przeszłym Numerze kar. 356, wiersz 4, zamiast: »o smutne« *czytaj:* »o błędne;« *wiersz 5, zam.:* »wdzięcznym« *czytaj:* »świętym.«

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Redaktor Ciechański.*)